ZESZYTY NAUKOWE AKADEMII MARYNARKI WOJENNEJ
ROK XLX NR 2 (177) 2009

Andrzej Drzewiecki
Akademia Marynarki Wojennej

KILKA REFLEKSJI HISTORYCZNYCH W 10. ROCZNICĘ WSTĄPIENIA POLSKI DO NATO

STRESZCZENIE

Artykuł jest próbą zwrócenia uwagi na niektóre zagadnienia w najnowszej historii Polski, które ogniskują obecne spory polityczne i ideologiczne. Do takich należą niewątpliwie stosunki polsko-niemieckie oraz polsko-rosyjskie. W tle rozważań pojawia się pytanie, w jakim stopniu wejście Polski na europejskie i światowe salony polityczne eliminuje z naszego myślenia historycznego megalomanię i ksenofobię. Ich przyczyn autor dopatruje się w braku polityki historycznej państwa, co powoduje, że historia jest zawłaszczana przez „zwycięskie" obozy polityczne. Mocno wyeksponowana jest teza, że żaden układ wielostronny nie może zastąpić poprawnych relacji bilateralnych. Część rozważań, oczywiście w kontekście historycznym, jest poświęcona wojsku, z wyraźnym wskazaniem, że było ono zawsze głęboko zakotwiczone w polskiej tradycji patriotycznej.

Słowa kluczowe:
polityka, odpowiedzialność, historia, NATO.

Najważniejszą wartością dla każdego człowieka jest jego bezpieczeństwo, bez którego wszelkie inne wartości są iluzoryczne. Dziś, kiedy kontestujemy mały jubileusz naszego członkostwa w NATO, należałoby zapytać, w jakim świecie żyjemy, w jakim kierunku postępuje jego rozwój. Waldemar Milewicz, który zginął tragicznie w Iraku, realizował interesujący cykl filmów dokumentalnych pod wspólnym tytułem „Dziwny jest ten świat". Uważam, że owo przesłanie mogłoby stanowić motto dla spojrzenia na dzisiejszą rzeczywistość międzynarodową, która z jednej strony zadziwia swoim postępem naukowym, technologicznym, z drugiej zaś poraża i przeraża rozmiarem zbrodni. W 2002 roku podczas Ogólnopolskiego Zjazdu Historyków Polskich Jacek Chrobaczyński postawił ważne pytanie, czy przemoc jest

„motorem historii"? Poszukując odpowiedzi, przywołał badania niemieckiego historyka R. Rummla, który dowiódł, że większość ofiar ludobójstwa w XX wieku zginęła z winy własnych rządów. Według jego szacunków wszystkie wojny tego stulecia, łącznie z dwiema światowymi, przyniosły żniwo 35 milionów zabitych, podczas gdy rozmaite masakry ludności cywilnej i obozy koncentracyjne — 150 milionów[1]. Poza dyskusją pozostaje fakt, że te dramatyczne w swej wymowie liczby obciążają również ostatnie sześćdziesięciolecie, które chcielibyśmy postrzegać jako wolne od wojen i przemocy. Statystycznie rzecz ujmując, od zakończenia II wojny światowej do końca stulecia społeczność międzynarodowa uczestniczyła w ponad 150 wojnach i konfliktach[2]. Na naszych oczach zmienia się technika przemocy i zabijania. Wojnę „twarzą w twarz" zastąpiono technologią i formułą „zero ofiar". Przypadkowe — a może jest to tylko przekonanie tych, którzy usprawiedliwiają współczesne wojny — ofiary w Bośni, Afganistanie, Iraku, Czeczenii, na Bliskim Wschodzie czy w Afryce zadają kłam doskonałości technologicznej współczesnych środków rażenia. Człowiek nadal pozostaje dysponentem wszelkiej broni i ponosi całkowitą odpowiedzialność za skutki jej użycia. Aby jednak zamaskować ten moralny wyrzut sumienia, do współczesnego języka polityczno-wojskowego wprowadzono cały arsenał pojęć, które mają dowodzić, że współczesne wojny są inne. W tej palecie znajdziemy określania w rodzaju: nowa wojna, prywatna wojna, dzika wojna, interwencja policyjna, wojna prewencyjna, wojna ze światowym terroryzmem czy wreszcie wojna procesu globalizacji[3]. A wszystko po to, aby przywrócić jakiś naród do wspólnoty międzynarodowej w „imię jego najgłębszych interesów". Gdyby jeszcze narody uwikłane w te wojny i konflikty miały świadomość, że to w ich interesie, można by uznać, że polityka i dyplomacja należycie wywiązują się ze swoich zadań. Tych kilka uwag powinno pozwolić nam postrzegać świat w całej jego złożoności. Może warto jeszcze przypomnieć, że już na początku lat osiemdziesiątych minionego stulecia w tzw. Raportach Rzymskich kreślono nieciekawą perspektywę dla przyszłych pokoleń, nie po to, aby przerażać, lecz by uwrażliwiać. Eksperci FAO zauważyli, że istnieją nikłe szanse na to, by kraje wysoko rozwinięte wyprowadziły z zapaści kraje najbiedniejsze, wiele natomiast wskazywało na to, że kraje najbiedniejsze mogą wciągnąć w ogólnoświatowy chaos kraje najbogatsze. Dziś zasadne jest pytanie, która z tych wizji jest bliższa spełnienia?

---

[1] J. Chrobaczyński, *Czy przemoc jest „motorem historii"*, [w:], *Dramat przemocy w historycznej perspektywie*, Wyd. WAM, Polskie Towarzystwo Historyczne, Kraków 2004, s. 15.

[2] Szerzej na ten temat zob.: K. Kubiak, *Wojny, konflikty zbrojne i punkty zapalne na świecie*, Wyd. TRIO, Warszawa 2005.

[3] J. Kaczmarek, *„Stare" i „nowe" wojny*, „Myśl Wojskowa", 2005, nr 2, s. 67.

Upływająca dekada naszego członkostwa w Sojuszu Północnoatlantyckim to czas zbyt krótki, aby można było na tej podstawie tworzyć wiążące oceny historyczne czy nawet hipotezy, wszak historia potrzebuje przede wszystkim dystansu. Bardzo często, i uważam, że słusznie, podglądamy naszych zachodnich sojuszników w wielu obszarach życia, obserwujmy również ich stosunek do historii i zauważamy, że brakuje nam ich cierpliwości, spokoju, merytorycznej dyskusji, odwagi w mierzeniu się z historią, nawet tą najtrudniejszą, która często kala narodowe dzieje, ale jest ich częścią. Mając to na uwadze, nie będę formułował wzniosłych rocznicowych ocen, chciałbym natomiast podzielić się kilkoma spostrzeżeniami, w moim przekonaniu istotnymi dla bezpieczeństwa państwa i jego pozycji w środowisku międzynarodowym. Zastanawia mnie, w jakim stopniu radzimy sobie z własnym doświadczeniem historycznym, na ile ono pomaga lub przeszkadza nam mówić wspólnym głosem w sprawach istotnych dla Europy i Sojuszu.

W lutym 2009 roku spotkali się w Krakowie ministrowie obrony państw Sojuszu. Szczególne wrażenie wywarło ma mnie to, iż podkreślano, że Sojusz jest niezawodnym gwarantem wartości demokratycznych. Nie ukrywam, że odczułem pewien dyskomfort i przyszło mi na myśl, iż nie najlepiej we współczesnym świecie mają się wartości demokratyczne, skoro ich strażnikiem jest organizacja, bądź co bądź, militarna. Uważam, że pośpiech w definiowaniu minionej dekady jako zamkniętej wartości historycznej, a zwłaszcza jako niepodważalnego sukcesu, byłby wielce szkodliwy dla dalszej dyskusji nad miejscem Polski w dynamicznym i ciągle kształtującym się porządku międzynarodowym. Ład międzynarodowy podlega ciągłym zmianom i dlatego Pakt Północnoatlantycki musi odpowiadać na wciąż nowe wyzwania. Polska ze swoim dziesięcioletnim doświadczeniem w jego strukturach powinna w tej lekcji uważnie uczestniczyć, by zrozumieć, że bezpieczeństwo i pokój nikomu nie są dane raz na zawsze. Taka to przewrotność historii, że sojusz, który gwarantował nam granice i bezpieczeństwo po 1945 r., jest odczytywany jako ograniczenie naszej suwerenności. Z kolei sojusze, które w 1939 r. okazały się martwą literą, urastają do rangi symbolu operatywności naszej przedwojennej dyplomacji. Czy prawdą jest, jak chcą niektórzy, że Francuzi i Brytyjczycy w 1939 r. oszukali nas? To nie jest właściwe określenie w polityce. Każde z tych państw miało swoje interesy, które nie zawsze były zbieżne z polską racją stanu. Zresztą nie tylko Brytyjczycy nie chcieli umierać za Gdańsk w 1939 r., w 1948 r. w czasie kryzysu berlińskiego Francuzi też nie zamierzali „umierać za pieczątki" w Berlinie. Może my w naszej historii zbyt ochoczo umieraliśmy za wolność „waszą i naszą" i w sposób nieuprawniony od innych oczekiwaliśmy tego samego. Podobny błąd w konstruowaniu naszego bezpieczeństwa dziś i w przyszłości nie może się powtórzyć. Nawiązuję do

tego wątku, ponieważ w ostatnich dniach ponownie w mediach zagościła informacja, że tym razem USA okłamały nas w sprawie tarczy antyrakietowej, że grały na naszych uczuciach i poddały próbie stosunki dwustronne, że ewentualne ich wycofanie się z instalowania tarczy osłabi nasze bezpieczeństwo[4]. To olbrzymie nieporozumienie. To nie USA ponoszą winę za ten stan rzeczy, ale obecny i poprzednie rządy RP, które skutecznie wmówiły społeczeństwu, że Polskę i Stany Zjednoczone łączy strategiczne partnerstwo. Analiza różnych wypowiedzi w tej kwestii prowadzi do wniosku, że nie odrobiliśmy kolejnej lekcji historii, z której wynika, że o swoje bezpieczeństwo trzeba przede wszystkim troszczyć się samemu, a innych pozyskiwać dla jego wzmocnienia.

Układ jałtański z 11 lutego 1945 r. opisał w *Załganej historii powojennej* Polski prof. Jerzy Krasuski: „(…) nie ustanowił hegemonii radzieckiej nad Polską, lecz tylko zatwierdził stan rzeczy, jaki zaistniał na skutek zwycięstw Armii Czerwonej nad Niemcami; pod koniec lipca 1944 r. dotarła ona do Wisły, a wznowiwszy ofensywę 12 stycznia, już 15 lutego — cztery dni po Jałcie — szturmowała Wrocław". Dalej Profesor stwierdza: „(…) pisanie historii odmiennej od rzeczywistej jest wprawdzie uroczyście przez historyków odrzucane i potępiane, ale mimo to nieustannie przez nich samych uprawiane, gdyż nie potrafią powstrzymać się przed potępianiem, z takiego czy innego punktu widzenia, faktycznego przebiegu dziejów — zamiast go po prostu wyjaśniać"[5]. To wyjaśnianie historii przychodzi nam jednak z wielkim trudem, z jeszcze większym przychodzi nam przewartościowanie, nie tyle wiedzy, co wyobrażeń i sądów utrwalonych przez minione dziesięciolecia. Czy jesteśmy w stanie nie tylko zaakceptować, co podjąć merytoryczną dyskusję z oceną naszej tragicznej niepodległości, którą prof. Krasuski zawarł w takim oto stwierdzeniu: „Żaden z polityków polskich okresu II wojny światowej nie stanął na wysokości zadania, poczynając już od Sikorskiego z jego ślepą wiarą w potęgę Francji w 1940 r. Zburzono Warszawę niejako własnymi rękoma, wpadnięto bezwolnie w radziecką pułapkę zastawioną w Pruszkowie, jak gdyby nie miano jak najgorszych już doświadczeń, wkrótce po tym Mikołajczyk nadał prawowitość komunistycznym rządom, niczego w zamian w istocie nie uzyskując. Wobec osądu historii mógłby ostać się Anders, który wyprowadził dziesiątki tysięcy Polaków z radzieckiego piekła, gdyby nie pchał ich następnie do krwawych walk w Italii, sądząc błędnie, że zobowiąże to Wielką Brytanię do obrony Polski przed utratą Kresów Wschodnich i przed komunizmem. O zachowanie biologicznej substancji narodu troszczył się głównie

[4] Inną od powszechnej opinię na temat traczy antyrakietowej wyraził J. Korwin-Mikke. Por.: tenże, *Rusofoby w odwrocie*, Wyd. REDHORSE, 2009, s. 101–106.

[5] J. Krasuski, *Załgana historia powojennej Polski*, „Dziś", 2002, nr 6, s. 76.

Sosnkowski, ale w okresie podejmowania decyzji o powstaniu warszawskim uznał za stosowne wyjechać do Italii, potwierdzając zrodzoną w maju 1926 r. opinię o sobie jako człowieku unikającym odpowiedzialności"[6]. A przecież ta historia miała swój dalszy ciąg już w okresie powojennym. Czyżby jej widomym znakiem miał być pomnik żołnierza wyklętego, a jeśli tak, to dlaczego?

Właśnie odpowiedzialność jest kwestią o kapitalnym znaczeniu, zarówno w przeszłych, jak i obecnych działaniach oraz decyzjach politycznych. Rację miał prof. Roman Wapiński, przekonując, że powołanie w 1940 r. przez gen. Sikorskiego specjalnej komisji do zbadania odpowiedzialności za klęskę wrześniową było działaniem politycznym, obliczonym na zdyskredytowanie obozu sanacji, a ponadto, że czas wojny bardziej sprzyjał emocjonalnym aniżeli racjonalnym ocenom[7]. Źle natomiast się stało, że takiego obrachunku nie dokonano, zanim komuniści objęli w kraju władzę. Być może wówczas uniknęlibyśmy idealizacji II Rzeczypospolitej, a nasze myślenie historyczne byłoby bogatsze o ważne doświadczenie. Może wówczas łatwiej rozróżnialibyśmy zdrajcę od patrioty, a nowe pomniki budowalibyśmy z większą rozwagą i pokorą wobec historii. W 1981 r. Jan Józef Lipski wystąpił przeciwko upraszczaniu naszych relacji historycznych z Niemcami. Stwierdzał wówczas: „(…) w polskim myśleniu o naszych stosunkach historycznych z Niemcami narosło masę mitów i fałszywych mniemań, które trzeba będzie kiedyś odkłamać w imię prawdy i w celu leczenia samych siebie: fałszywe wyobrażenia o własnej historii są chorobą ducha narodu, stanowią przeważnie pożywkę, na której rozwija się ksenofobia i megalomania narodowa"[8]. Dziś w polskich mediach powraca sprawa wysiedleń i Eriki Steinbach. Ważny jest tu autorytet prof. Władysława Bartoszewskiego i jego opinia w tej delikatnej materii. Ale trzeba również mieć na uwadze to, że żaden naród, my również, nie lubi, gdy z zewnątrz sugeruje się działania należące do jego suwerennej decyzji. Z triumfem w głosie informowano o sukcesie polskiej dyplomacji, ale zauważono również, że w zarządzie przedmiotowej fundacji pozostanie symboliczne wolne miejsce. Ta symbolika wolnego miejsca jest nam znana z nieodległej historii, kiedy władze komunistyczne naszego państwa zakazywały czy to wyjazdu dostojnikowi kościelnemu, czy peregrynacji obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej. Kraj przemierzała wówczas rama obrazu, która pełniła rolę zwielokrotnionego

[6] J. Krasuski, *Tragiczna niepodległość. Polityka zagraniczna Polski w latach 1919–1945*, Poznań 2000, s. 320.

[7] R. Wapiński, *Realia i wyobrażenia o przyczynach przeceniania siły Polski przez środowiska rządzące w latach trzydziestych XX wieku*, [w:], *Nad Bałtykiem. W kręgu polityki, gospodarki, problemów narodowościowych i społecznych w XIX i XX wieku*, Toruń 2005, s. 439.

[8] Cyt. za: A. Czubiński, *Polskie spory o wiek 20*, „Dziś", 2001, nr 5, s. 61.

symbolu. Mamy przedziwną skłonność do pomnażania kombatantów i męczenników słusznej sprawy, oby się nie okazało, że również poza granicami naszego kraju.

Bilans doświadczeń historycznych, zdecydowanie ujemnych, rzutuje na obecne stosunki Polski z Rosją. Czytając niektóre opracowania oraz przysłuchując się różnym dyskusjom historycznym, można odnieść wrażenie, że relatywizuje się faszyzm i komunizm, okupację niemiecką i sowiecką. To prawda, że totalitaryzm, i to nieważne z jakiego nadania, niszczy suwerenność człowieka i ta suwerenność była w naszym kraju przez kilka dziesięcioleci poddana ciężkiej próbie, ale historia upomina się o oceny, które będą pozbawione zacietrzewienia ideologicznego. Wiktor Bater, który od 14 lat mieszka w Rosji i uważnie obserwuje zarówno Rosjan, jak i Rosję, stwierdza, że Polacy nie są przedmiotem szczególnej zadumy dla Rosjan. To my, podkreśla, roztrząsamy na każdym kroku Katyń, powstanie warszawskie, sowieckie panowanie i wiele innych trudnych kart historii. Dla Rosjan przyszedł nowy czas, trzeba odpowiedzieć jego wyzwaniom, a jeśli tak, to nie można być mentalnie pogrzebanym w historii. Rosjanie, stwierdza dalej W. Bater, nie umieją przepraszać, co nas dumnych Polaków strasznie uwiera. I ważna konkluzja — historią nie można grać, szczególnie wobec narodu pozbawionego pamięci historycznej. Zbyt wiele w swej historii zaznał ten naród upokorzenia i ma powody do wstydu, by chcieć o tej historii spokojnie rozmawiać[9]. Myślę, że nie jest to kompleks wyłącznie Rosjan. W 2007 r. media mocno wyeksponowały konflikt estońsko-rosyjski, jaki pojawił się w związku z zamiarem przeniesienia pomnika żołnierzy radzieckich na cmentarz w Tallinie. Ochoczo sondowano, co poszczególne nacje o tym sądzą, oczywiście strona polska bezwarunkowo popierała w tym sporze Estończyków. Przedstawiciel Rosji poproszony o wyrażenie opinii w tej kwestii zaznaczył, że pomniki można zburzyć, ale zacznie się inny problem, gdy w to miejsce staną żywi ludzie i upomną się o swoje prawa, szacunek oraz pamięć. Kilku polskich „politykierów" nie omieszkało przypomnieć, że przecież w Polsce jeszcze kilka sowieckich pomników pozostało i nadarza się okazja, aby dokończyć dzieła. Zapytano również komentatora niemieckiego, czy w jego kraju są podejmowane jakieś działania w tym względzie. Odpowiedział, że nie, wyjaśniając przy tym, iż owe pomniki to *memento historii*, iż mają przypominać kolejnym pokoleniom Niemców, że w ich historii był taki czas, kiedy zawiodła polityka, co doprowadziło do tego, że obcy żołnierz na ziemi niemieckiej budował pomniki swojej chwały. Te dwa przykłady stosunków bilateralnych wskazują, że niezależnie od postępujących procesów integracyjnych, nie tracą one na znaczeniu. Budowanie bezpieczeństwa

[9] W. Bater, *Im dłuższy bat, tym większa miłość*, [w:], S. Milan, *Rzeczpospolita III i pół*, Wyd. REDHORSE, 2009, s. 359–365.

państwa to również układanie swoich stosunków z najbliższymi sąsiadami, tak aby one temu bezpieczeństwu sprzyjały.

Najnowsza historia Polski, obejmująca dzieje naszej państwowości od 1918 roku, pokazuje, że mieliśmy z tym poważne kłopoty. Dziś ta historia jest niejednoznaczna w swoich ocenach, można powiedzieć, że przeżywa swoisty kryzys, którego głównym źródłem jest brak polityki historycznej, takiej, która reprezentowałaby interesy państwa, a nie partii politycznych, która byłaby zbiorowym sumieniem narodu, skłaniała do refleksji, stawiała trudne pytania i unikała arbitralnych rozstrzygnięć. Jest to teza kontrowersyjna, w wielu kręgach politycznych i opiniotwórczych wywołuje zdenerwowanie, zwłaszcza wśród tych, którzy instrumentalne traktowanie historii uważają za uprawnione do uzasadniania swoich racji politycznych. Dał temu wyraz Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, kiedy w rocznicę niepodległości apelował: piszmy historię sami, bo w przeciwnym razie napiszą ją inni. Tak niestety dzieje się przez całe dziesięciolecia — piszemy naszą historię nie po to, aby ją zrozumieć, lecz po to, by swoją interpretacją zdarzeń uprzedzić, zaskoczyć, a może zamknąć usta. Pytanie komu i dlaczego? Przecież powtarzamy niczym zaklęcie, że historia to nauczycielka życia, że naród, który nie zna swojej przeszłości, nie jest godzien przyszłości. Tego rodzaju wzniosłych słów i apeli nie brakuje wokół nas, z trudem jednak pochylamy się nad swoją przeszłością, taką jaką ona była, bez upiększania, a zwłaszcza bez wybiórczego jej traktowania.

Trudny „poród" niepodległości, który w polskiej historiografii zajmuje tak ważne miejsce, został de facto sprowadzony do tryumfalnego powrotu brygadiera J. Piłsudskiego do Warszawy i przekazania mu przez Radę Regencyjną symbolicznej władzy nad wojskiem. Podkreślam — symbolicznej, bo armii narodowej jako takiej nie było. A przecież był to trwający trzy lata okres trudnych zmagań polityczno-wojskowych, znaczonych powstaniem wielkopolskim, powstaniami śląskimi, wojną polsko-rosyjską i nazywajmy rzecz po imieniu — przegranymi plebiscytami na Śląsku, Warmii i Mazurach. Zwłaszcza wyniki plebiscytów podpowiadały, że zaszły poważne zmiany i przewartościowania w sferze świadomości narodowej. Mniej ryzykowne było znane, chociaż niemieckie, od nieznanego, które niosła ze sobą idea wolnej Polski. To nie oskarżenie o barak patriotyzmu, ale próba zrozumienia wyboru, którego zmuszone były dokonywać tysiące mieszkańców terenów objętych plebiscytami[10].

[10] Zob. H. Zieliński, *Historia Polski 1914–1939*, Wyd. Ossolineum, Warszawa 1983, s. 94–102; S. Sierpowski, S. Żerko, *Dzieje Polski XX wieku*, Wyd. KURPISZ, Poznań 2002, s. 71–97.

W listopadzie 1918 roku było niezwykle ważne, że po władzę sięgnął człowiek obdarzony charyzmą, człowiek legenda, o którym mówiono, że idą za nim serca, a nie buty żołnierskie. Swoistemu triumfalizmowi towarzyszyła jednak poważna refleksja, którą poeta zawarł w słowach: „i wyjrzał Chrystus zza gorejącego krzaka i zapytał, Polska ale jaka". Przywołuję te słowa, bo mimo upływu 90 lat od tamtych wydarzeń, są one nad wyraz aktualne. Dziś pytanie jaka Polska to chleb powszedni namiętnych dyskusji, od lewej do prawej strony sceny politycznej.

Sprowadzenie tego niezwykle ważnego fragmentu polskiej historii do symboli i gestów spowodowało, że kolejne pokolenia dorastają w klimacie braku zrozumienia tego wszystkiego, co legło u podstaw rozbiorów Rzeczypospolitej i jej 123-letniej niewoli. Zbyt łatwo swoje wewnętrzne problemy polityczne i społeczne przerzuciliśmy na państwa ościenne i tym samym zdjęliśmy z siebie brzemię odpowiedzialności za własny los. Polska historiografia dostarcza wielu przykładów wskazujących na to, że rozbiory nie dla wszystkich były tragedią, że za trumną cara Aleksandra szedł liczny, pogrążony w głębokim smutku orszak szlachecko-magnacki, a w niektórych kręgach opiniotwórczych argumentowano, że rozbiory były wyrokiem opatrzności, dobrodziejstwem, ponieważ organizm wyżej rozwinięty, wskazując na Rosję, wchłonął ten słabszy, czyli Polskę, aby ją uszlachetnić. W *Pamiętnikach* Kajetana Koźmiana czytamy: „Lepiej nam teraz niż za czasów polskich, mamy w znacznej części to, co nam ojczyzna dawała, a nie mamy ciężarów i niebezpieczeństwa rzezi humańskiej i chociaż bez Polski, jesteśmy w Polsce i jesteśmy Polakami". Henryk Rzewuski dowodził, że rozbiory ocaliły Polaków od zagłady. Uzasadniał: „Każdy naród, chociażby nawet ukształcony, skoro doczeka się ulotnienia żywiołów niezbędnych sił dla swojego bytu do tego stopnia, że już nie może istnieć politycznie, przyszedłby do stanu najohydniejszej dzikości, gdyby nie został łupem podboju jakiegoś innego żywotnego społeczeństwa, które bądź ożywia zmartwiałe w nim żywioły, bądź swoje w nim wszczepia"[11]. Warto by się zastanowić, co w nas ożywiono, a co wszczepiono i z jakim skutkiem.

Jednym z pierwszych, który oponował przeciwko takiemu rozumowaniu i dokonał głębszej analizy psychiki Polaków był Aleksander Bocheński. W dwóch traktatach *Z dziejów głupoty w Polsce* oraz *Rozmyślaniach o polityce polskiej* kwestionował wzniosłe zaangażowanie ponad realia, co w konsekwencji sprzyjało kształtowaniu i utrwalaniu postaw irracjonalnych. W ten nurt myślenia wpisywał się także Jan Stachniuk, który wprowadzając do społecznego obiegu określenie „polakatolik", starał się zgłębić fenomen społecznej i narodowej nieodpowiedzialności. Wskazane

[11] Por. H. Olszewski, M. Zmierczak, *Historia doktryn politycznych i prawnych*, Poznań 2000, s. 233.

tu tytuły nie stały się kanonem lektur historycznych nawet wówczas, gdy Jan Szczepański i Bogdan Suchodolski podkreślali potrzebę wychowania obywatelskiego. Ucieczka w symbole, które zastępowały całościowe myślenie o państwie, spowodowała, że troska o materialne podstawy określające postęp cywilizacyjny kraju siłą rzeczy została zepchnięta na margines zainteresowania Polaków. Nader często artykułujemy swoje pretensje do historii, stwarzając wrażenie, że dzieje się ona obok nas lub poza nami. A przecież tak nie jest. Nasza historia jest fotografią naszych dokonań lub ich zaniechań, powodując określone skutki, za które ponosimy odpowiedzialność. Gen. Wojciech Jaruzelski w wywiadzie udzielonym Sylwii Milan, a opublikowanym w zbiorze zatytułowanym *Rzeczpospolita III i pół*, zwrócił uwagę na fakt, że polskie myślenie ukształtowała historia i nieustanna walka o wolność, że panuje u nas kult powstań. Dodał przy tym, że wszystkie powstania (z wyjątkiem wielkopolskiego) zakończyły się klęską, a faktycznie cofnięciem sprawy polskiej. Jako wymowny przykład podał powstanie listopadowe wszczęte przez podchorążych, którzy wyruszyli na Belweder bez przygotowania. Szli i szukali generałów, którzy mogliby im przewodzić. Kilku napotkanych, jeszcze z wojen napoleońskich, gdy odmówili współpracy, najzwyczajniej zastrzelono. A co my robimy z tą wiedzą? Każdego roku w uroczystej formie tłoczymy do głów podchorążych przekonanie, że był to zryw patriotyczny, który pchnął narodowe dzieje na nowe tory. Albo brakuje odwagi, albo wiedzy, albo jednego i drugiego, by powiedzieć, jak Aleksander Bocheński, że głupoty nie wolno mylić z odpowiedzialnością. Cytowany tu przeze mnie gen. Jaruzelski mówi o potrzebie szacunku dla tej determinacji, dla ofiary życia, które jednak nie mogą przysłaniać racjonalnej ich oceny[12].

W tym samym zbiorze relacji Janusz Reykowski postawił istotne pytanie, kto w Polsce pisze najnowszą historię, i odpowiada, że jej autorami są mentalni fundamentaliści, którzy zagrożeni w swoich racjach używają historii do celów pozamerytorycznych, gdzie celem nie jest poznanie i zrozumienie dziejów, ale wskazanie przeciwnika, którego za wszelką cenę należy jeśli nie zniszczyć, to przynajmniej zmarginalizować, tak by z piętnem przekleństwa szedł przez dalsze życie[13]. Takich fundamentalistów, można ich nazwać dyżurnymi narratorami narodowej historii, miała i II Rzeczpospolita, i PRL, i III RP oraz poczęta, acz nienarodzona IV RP. Nietrudno zauważyć, że dla celów politycznych lub ideologicznych ową narrację historyczną sprowadzano do negacji poprzedniego wcielenia Rzeczypospolitej, tworząc kolejny mit, że tym razem jest to wreszcie ta Polska, o którą walczyły całe

[12] W. Jaruzelski, *Raczej satysfakcja*, [w:], S. Milan, wyd. cyt., s. 36–37.
[13] J. Reykowski, *Mentalni fundamentaliści*, [w:], S. Milan, wyd. cyt., s. 151.

pokolenia. Andrzej Garlicki w swoim rozumieniu historii podkreślał, że poznanie faktów i zdarzeń historycznych jest zaledwie wstępem do procesu najważniejszego, do zrozumienia historii[14]. Bez zrozumienia narodowej historii nie jest możliwa racjonalna ocena dokonań i wkładu poszczególnych pokoleń w obecny kształt ojczystego domu. Aleksander Kwaśniewski, były prezydent RP, z nutką zazdrości, jak mniemam, mówił o pokoleniu Adama Michnika, że to najszczęśliwsi rewolucjoniści w polskiej historii, bo udało im się zrealizować ideę, która przez całe dziesięciolecia była nierealna. Podkreślał, że stali się oni depozytariuszami wartości narodowych, których fundamentem jest wolność i suwerenność naszego kraju w obecnym porządku międzynarodowym[15]. Trudno z tą oczywistością polemizować. Chodzi jednak o to, by w miarę upływu czasu owym depozytariuszem stał się cały naród, bez wykluczeń i marginalizacji.

Mówiąc o Polsce i jej historii, nie sposób pominąć armii, która zawsze była postrzegana jako nośnik państwowości i tożsamości narodowej. W konstytucji 3 Maja zapisano, że wojsko „nic innego nie jest, tylko wyciągnięta siła obronna i porządna z ogólnej siły narodu"[16]. W kolejnych konstytucjach, może mniej uroczyście, ale zawsze podkreślano, że służba wojskowa jest obywatelskim i patriotycznym obowiązkiem. Bodajże po raz pierwszy w dziejach, już w wolnej Polsce po 1989 r., pojawił się zarzut wobec wojska jako formacji pozbawionej zakorzenienia w narodzie, co samo w sobie było wystarczającą przesłanką do poważnej refleksji, i to o charakterze ogólnonarodowym. Bo przecież wojsko to nie sprawa 120 czy 150 tysięcy umundurowanych i uzbrojonych ludzi, ale problem żywotny dla państwa, w przestrzeni którego żyje naród. I znów wracamy do sytuacji, w jakiej przychodzi nam się mierzyć z ocenami budowanymi na podłożu uprzedzeń i negacji. Czy podejmować polemikę z tezą, że „ludowe Wojsko Polskie było niczym innym jak tylko polskojęzyczną formacją w służbie obcego mocarstwa"? To potwarz i obelga, która sama w sobie dyskredytuje autora tych słów, ale jednocześnie sygnał, że żyjemy w kraju, w którym naruszenie dóbr osobistych jednego polityka jest prawie zbrodnią, a obrażanie tysięcy ludzi oddanych sprawie jest bezkarne, mało tego — przynosi profity polityczne. Czy można to zachowanie zbywać milczeniem? Wojskowi, niezależnie od stopni i stanowisk, z pokorą przyjęli ten wyrok, nie historii, ale ideologii, bo trzymał ich w szachu kaganiec apolityczności. Obawa o miejsce służby była silniejsza od

[14] A. Garlicki, *Historia. Polska i świat. 1815–2004,* Wyd. Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2005, s. 13.

[15] A. Kwaśniewski, *A co po nas?*, [w:], S. Milan, wyd. cyt., s. 51–52.

[16] *Ustawa Rządowa z dnia 3-go maja 1791 roku*, [w:], *Konstytucje polskie 1791–1990*, Wyd. Przemiany, Warszawa 1990, s. 18.

budzącego się wewnątrz głosu protestu. Ale brak reakcji spowodował, że kolejne koalicje rządowe z tym większą ochotą reformowały siły zbrojne, mając za nic zobowiązania państwa wobec żołnierza. Najbardziej wymiernym efektem owych reformatorskich działań była i nadal pozostaje redukcja stanów osobowych. Nie bez powodu mówi się, że armia produkuje coraz młodszych emerytów. A przecież zawarli kontrakt nie z osobą prywatną, tylko ze swoim państwem, któremu oddali się w dyspozycję, oczekując w zamian godnych warunków służby, opieki i ochrony prawnej. Ale skoro zaakceptowano tezę, że „polskość" tej armii budzi wątpliwość, no to trzeba ją rozformować, bez względu na koszty społeczne i materialne, tym bardziej że miała ona w swojej biografii udział w przeobrażeniach społeczno-ekonomicznych po 1945 roku. Wojsku w pierwszym rzędzie przyprawiono „gębę" utrwalaczy władzy ludowej. Owszem, było ono obecne na froncie toczącej się wojny domowej, ale było też obecne wszędzie tam, gdzie dźwigano kraj z ruin wojennych i tworzono jego przyszłość. Trzeba tylko chcieć dostrzec owe proporcje i właściwie je ocenić.

Znawca tej problematyki Benon Miśkiewicz napisał, iż zebrane fakty świadczą o tym, że dążeniem gen. Zygmunta Berlinga i jego współpracowników było tworzenie wojska narodowego, którego celem miała być walka o oswobodzenie Polski i pokonanie hitleryzmu. Dlatego też dyskutowanie, czy wojsko to było narodowe — polskie jest nieporozumieniem. Służyli w nim w zdecydowanej większości Polacy kultywujący tradycje narodowe, a ponadto za takie uznawali je przywódcy radzieccy[17].

Czy wystarczy ten jeden głos, chociażby najrozsądniejszy, aby zmienić niekorzystną optykę widzenia wojska i jego roli w przemianach, które dokonywały się po 1945 roku. Czy wszędzie i za wszelką cenę należy doszukiwać się wpływów sowieckich, nawet jeśli ich uzasadnienie bywa kłopotliwe. Owszem, był taki czas, dodajmy, już nie wojenny, kiedy to na kluczowych stanowiskach dowódczych w Wojsku Polskim byli oficerowie radzieccy, kiedy poprzez zmianę regulaminów i epoletów munduru oficerskiego podejmowano z różnym skutkiem próby sowietyzacji wojska. Czy jednak te zewnętrzne oznaki były dowodem na to, że oficer, podoficer i szeregowy żołnierz zatracili poczucie przyzwoitości i obowiązku wobec własnego narodu? Takie sądy mogą wydawać tylko ci, którzy postrzegają armię jako „polskojęzyczne narzędzie", którzy nie chcą w nim dostrzec owego polskiego i narodowego pierwiastka, bo wówczas cała ich konstrukcja myślowa dotycząca oceny

[17] B. Miśkiewicz, *Wojsko Polskie XX wieku. Zwycięstwa i niepowodzenia bohaterskiego żołnierza polskiego*, Wyd. KURPISZ S.A., s. 131.

kilku powojennych dziesięcioleci załamuje się. Owszem, byli na różnych stanowiskach dowódczych, nie tylko kierowniczych, oficerowie z duszą wasala, którym nie przeszkadzała podległość i uległość obcemu mocarstwu, ale świadomość występowania takich przypadków nie upoważnia do obciążania nimi całych sił zbrojnych.

Trudno odmówić racji Adamowi Próchnikowi, którym w 1933 roku targały poważne wątpliwości, czy pisać historię niepodległej Rzeczypospolitej, gdyż miał świadomość, że brakuje właściwego dystansu do zdarzeń, które wciąż trwały. Stwierdzał: „Niełatwo jest pisać historię współczesności. Brak jeszcze wielu niesłychanie ważnych materiałów. Trudno wytworzyć sobie perspektywę, z której można patrzeć na wypadki i odróżniać wielkie od małych, trudno dotrzeć do najgłębszych sprężyn wydarzeń, najtrudniej ustrzec się, aby ogień toczących się walk nie osmalił naszego opisu dziejów. Wreszcie warunki polityczne nie pozwalają nie tylko na swobodną ocenę wydarzeń, lecz niejednokrotnie nawet na proste stwierdzenie faktów.

A jednak historię tę pisać trzeba, gdyż jest potrzebna. Jest potrzebna mimo swoich nieuniknionych błędów, mimo nieuniknionych luk i zniekształceń. Pisze się ją, nie roszcząc sobie pretensji do osiągnięcia ideału. Przyszły historyk poprawi błędy dzisiejszego historyka. Uzupełni też luki i białe plamy, gdy warunki zmienione na to pozwolą[18]".

Myślę, że członkostwo naszego kraju w NATO i Unii Europejskiej spowodowało, że warunki, o których mówił wówczas A. Próchnik, uległy zmianie i pozwalają na racjonalizowanie ocen, zarówno historycznych, jak i dotyczących współczesnych międzynarodowych zobowiązań Rzeczypospolitej. Dziś nie musimy być mesjaszem narodów, przedmurzem, bastionem, obozem, wysuniętą rubieżą czy też inną fortecą. Wystarczy, że nasza polityka będzie przewidywalna dla naszych partnerów, zarówno ta wewnętrzna, jak i zagraniczna, że nie będziemy dostarczali powodów, aby określano nas mianem współczesnego konia trojańskiego, że uporamy się ze swoją historią na tyle, by nie zachodziła potrzeba pisania kolejnego tomu dziejów głupoty w Polsce.

Jest to możliwe, o ile wszyscy będziemy troszczyli się i zabiegali o postęp kultury politycznej w naszym kraju. Wybitny pedagog Henryk Pestalozzi przekonywał: „bez politycznej kultury suwerenny naród jest dzieckiem, które bawi się ogniem i może w każdej chwili podpalić dom". Nasza powikłana historia raczej nie sprzyjała kształtowaniu owej kultury. Przez dziesięciolecia, by nie powiedzieć setlecia,

[18] Cyt. za: L. Grot, T. Konecki, E. Nalepa, *Pokojowe dzieje Wojska Polskiego*, WIH, Warszawa 1988, s. 5.

bohaterem był ten, kto burzył, wiódł na barykady, konspirował, był w opozycji, nie zawsze konstruktywnej. R. Kipling mówił, że „pierwszą ofiarą wojny jest prawda". Jeśli tak, to nie mieliśmy zbyt dużo czasu, aby tę prawdę odszukać i pozwolić jej zadomowić się. Dostrzegł ten fenomen Józef Piłsudski, który uznał, że należy przywrócić powagę państwa, a można to uczynić poprzez wychowanie dla państwa. Warunki wewnętrzne i zewnętrzne nie pozwoliły na pełne zrealizowanie tej wielkiej i ważnej idei, ale przyznać trzeba, że odnotowano na tym polu niezaprzeczalne sukcesy. Dziś też jest taka potrzeba, zwłaszcza gdy kwestionuje się ustalenia okrągłego stołu oraz licytuje zasługi dla polskiej demokracji. Zawsze świat podziwiał nas za to, że potrafimy pięknie się różnić, chciałoby się, by nas podziwiano za wspólne działanie, śmiem twierdzić, że perspektywa to jednak dość odległa. Nie jesteśmy wolni od zagrożeń cywilizacyjnych, a jednym z zasadniczych, jak słusznie przekonuje prof. Longin Pastusiak, stał się człowiek sam dla siebie. Żyjemy w globalnej przestrzeni, a zatem potrzeba globalnej wyobraźni, by nie ulec przekonaniu, że tym razem wyroki historii będą dla nas łaskawsze[19].

Jakiego patriotyzmu potrzebują dziś Polacy? Na to pytanie stara się odpowiedzieć Andrzej Waśkiewicz w zbiorze esejów zatytułowanym *Polityka dla dorosłych.* Po pierwsze, uważa autor, miłość do ojczyzny nie może uzasadniać wszelkich niegodziwości popełnianych w jej imię, a zwłaszcza nie wolno usprawiedliwiać nienawiści do innych narodów. Potrzeba więc takiego patriotyzmu, który pozwoli zachować niezależność sądów moralnych po to, by osądzać także swoje państwo (władzę), naród czy społeczeństwo. Po drugie, potrzeba nam patriotyzmu, który nie tragizuje sam siebie. Przywołuje w tym miejscu fragment wiersza Andrzeja Bursy *Modlitwa dziękczynna z wymówką,* w którym autor dziękuje Bogu, że nie stworzył go ślepym, garbatym, dziecięciem alkoholika, wodogłowcem itd. Ale dlaczego, zwraca się z wyrzutem do Stwórcy — uczyniłeś mnie Polakiem? To sygnał, że polskość może być problemem, w takim przeświadczeniu wychowało się wiele pokoleń. Polskę można już dziś kochać zwyczajnie, normalnie, z akcentowaniem tradycji pozytywistycznej w miejsce romantycznej. Po trzecie wreszcie, w edukacji patriotycznej mniejszą wagę należy przykładać do historii, ponieważ nie jest ona jedyną skarbnicą miłości ojczyzny, a nadto można w niej znaleźć bardzo wyraziste wzory zaprzaństwa. Historia, podsumowuje autor, jest przedmiotem zarówno dumy, jak i wstydu[20]. Nasza obecność w zjednoczonej Europie, a także w strukturach NATO

[19] L. Pastusiak, *Zagrożenia cywilizacyjne*, „Dziś", 2003, nr 2, s. 26.

[20] A. Waśkiewicz, *Polityka dla dorosłych* (eseje), Wyd. Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2008, s. 167–171.

nie rozwiąże za nas spraw i problemów, które niczym gorset uwierają intelektualnie i moralnie, mamy jednak szansę, aby rozmawiać o nich bez pieniactwa, z poszanowaniem odrębności i poglądów, i ocen.

A FEW THOUGHTS RELATED TO THE TENTH ANNIVERSARY OF JOINIG NATO BY POLAND

ABSTRACT

The paper makes an attempt to attract attention to some issues in the contemporary history of Poland which lie in the center of the present day political and ideological disputes. Undoubtedly, they include Polish-German and Polish-Russian relations. There arises a question to which extent entering by Poland European and world political salons eliminates megalomania and xenophobia from our political thinking. The causes are seen in the absence of historical policies of the state which results in becoming possessors of history by the winning political camps. An idea is highlighted that no multilateral arrangement can replace proper bilateral rlations. Some considerations, of course in the historical context, are focused on the armed forces, indicating clearly that they have always been deeply embedded in the Polish patriotic tradition.

Keywords:

policy, esponsibility, history, NATO.

Recenzent prof. dr hab. Jerzy Przybylski